TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 21. *Chicago, Ills., 19 Listopada, 1885 r.* Rok II.

OPOWIADANIA
JMĆ PANA WITA NARWOJA,
ROTMISTRZA KONNEJ GWARDYI KORONNEJ.

A. D. 1760 — 1767.

— SPISAŁ —

WŁADYSŁAW ŁOZINSKI.

(Ciąg dalszy.)

— Wiktorya! panie Paszyc! — zawołałem uderzając go po ramieniu — stało się, jakem Waćpanu przepowiedział, wszystko Pan Bóg na dobre zmienił. Borawka siedzi już *in fundo*, a Waćpan jak byłeś rotmistrzem, tak nim i jesteś, bo owo przynoszę Waćpanu napowrót i patent i oblig i kartelusze żołdowe a nawet cedułę od Borawki, jako mu się już nic a nic od Waćpana nie należy!

On się wpatrzył na mnie z wielkiem zdziwieniem, jakby mi wierzyć nie chciał, a gdy mu papiery wszystkie do rąk oddałem, stał jeszcze przez chwilę nieruchomy, jak słup, aż nagle, jakby z ciężkiego snu się budząc, z wielkim radosnym krzykiem w ramiona swe mnie chwycił ściskając i całując. Ja mu dopiero wszystko *ab ovo* opowiedziałem, a on wysłuchawszy z wielką admiracyą mojej powieści, z wielkiego ukontentowania i z affektu wdzięczności aż płakać począł, dając folgę rozczulonemu sercu.

Prawie po nogach i rękach mnie całował, dobroczyńcą i wybawicielem mnie swoim mieniąc.

Potem znów w extrem wpadłszy, srodze lamentować począł, że mi tych sześć tysięcy, które wyłożyłem, wrócić z czego teraz nie ma — ale ja go pocieszyłem, zapewniając go *solenniter*, że czekać mogę bardzo długo i że frasunku o to żadnego do serca przypuszczać sobie nie powinien.

Po tem wszystkiem poszedłem do mojej kwatery, dokąd mi Paszyc zaraz felczera przywiódł, aby mi na moją ranę, która bardzo lekka była, maść i bandaż przyłożył. Nie pamiętam, czym kiedy w życiu spał tak smaczno, jak tej nocy. Czy to bezpieczeństwo, w jakiem się już po rozproszeniu onych łotrów czułem, czy ów dobry uczynek, który dla Paszyca spełniłem, czy też znużenie i upływ krwi, czy też to wszystko razem taki mi słodki sen sprawiło — dość, że dopiero późnym rankiem nazajutrz się obudziłem, pokrzepiony na ciele i z pogodnem sercem.

Zaraz się ubrałem, aby jak to wczoraj postanowionem było, zarekomendować się JMĆpanu generałowi Mierowi, który tu w Radomiu przypadkiem tylko będąc, już pozajutro miał wyjeżdżać. Nie chcąc stawać przed nim w ubiorze cywilnym, raz jeszcze ubrałem się w mój mundur pruski, już po raz ostatni w życiu go biorąc.

JMĆpan generał Mier stanął był na zamku, gdyż mu jeden z wojskowych komisarzy kwatery swej ustąpił. Przyszedłszy tam opowiedziałem się oficerowi, co był przydany generałowi na ordynans, prosząc, by mnie zameldował. Powiedział mi oficer, że JMĆpan generał właśnie wybiera się z wizytą do księdza biskupa Załuskiego, że tedy trudno, by mnie chciał widzieć, ale skoro mi na tem dużo zależy, spróbować trzeba. Czekam tedy nie wiele mając nadziei, bym z panem generałem rozmawiał, gdy wkrótce powraca oficer i powiada:

— Panie Narwoj, Jaśnie Wielmożny pan generał prosi Waszmości!

Porwałem się szybko, raz jeszcze po sobie okiem rzuciwszy, czy też przystojnie i po regule wyglądam, i wchodząc do pokoju z zachowaniem całej subordynacyi i rewerencyi, trzy kroki ode drzwi naprzód postąpiwszy w pozyturze frontowej stanąłem.

Wilhelm Mier był naonczas zgrzybiałym już starcem, służby już żadnej nie pełnił, ale regiment dragonii, który w bardzo długie jeszcze lata po jego śmierci Mirowskim się nazywał, zawsze pod jego główną był komendą i od niego też i forsztelacye i nominacye zależały. Był ten generał Szkot z urodzenia a do Polski po fortunę przyszedł, a że jej był godzien jako żołnierz wielkiej dystynkcyi i bardzo mężnej duszy, więc ją też i znalazł tutaj. W luterskiej religii wychowany i wzrosły, błędy heretyckie rewokował i na łono Kościoła katolickiego powrócił.

Kiedym stanął w pokoju, on był odemnie odwrócony, tak że twarzy jego nie widziałem. Kończył czytać list jakiś i nagle odwróciwszy się, szybko ku mnie postąpił. Ubrany był w pąsowy frak z szerokiemi złotemi galonami, przy złotym felcechu i szpadzie ze złotym gifesem, a na piersiach miał kilka gwiazd i orderów.

Spojrzał na mnie bystro, a ja też na niego z uszanowaniem spoglądnąłem — i owo nagle od wielkiej konfuzyi i zdziwienia aż krew mi uderzyła do głowy i oczy mimowoli ku ziemi spuściłem..... Albowiem wystawcie sobie, JMĆpan generał Mier nie był to kto inny, jeno ów mizerny staruszek, którego ja pozawczoraj w winiarni Mursza w obronę wziąłem przeciw panu Szturrawskiemu!...

Stoję ja tak jak na gorącym ruszcie, języka w gębie zapomniawszy, i nie śmiem w oczy mu spojrzeć, a on bliżej jeszcze podchodząc, szorstko mnie pyta:

— Czego Waćpan żądasz odemnie?

Na szczęście ochłonąłem już trochę z tej okrutnej konfuzyi, tak też śmiało odpowiem:

— Jaśnie wielmożny panie generał-majorze! Żądam najpierw, abyś JWpan generał uwierzyć łaskawie raczył, że dziś po raz pierwszy widzę JWpana generał-majora Miera!

— A to Waćpan chcesz, abym wierzył w to, co nieprawda, bośmy się już pozawczoraj widzieli — rzecze on na to.

— To nie był generał Mier — replikuję na to — ale starzec nieuczciwie obrażony, a daję parol szlachcica i oficera, że gdyby mi był kto powiedział, że ten starzec w winiarni był dostojną osobą JWielmożnego pana generała, nie byłbym stanął nigdy w tych progach!

— Dla czego? — zapytał generał.

— Bo byś, Mości generale, mógł wtedy trzymać o mnie, żem jakową komedyę odegrał i do faworów Jego sztuczką niegodną wkręcić się zamierzam.

Rzekłszy to z determinacyą, salutowałem, i zrobiwszy zwrot w tył, chciałem odejść na prawdę, nie chcąc już o nic prosić generała, aby się

podejrzenia takowego nie nabawił. Generał Mier chwycił mnie za ramię i zawołał:

— Stój, panie kawalerze; wierzę w to mocno, co Waćpan tu deklarujesz. W owej przygodzie pod wiechą postąpiłeś sobie jako honorowy kawaler i stateczny oficer, którego respektuję i chwalę. Z miłego serca Waćpanu się chcę przysłużyć, jeżeli w czem mogę; mówże Waćpan otwarcie. Czy Waćpan w pruskiej służbie zostajesz?

— Nie, JWpanie generale — odpowiedziałem — otwarcie to wyznać muszę, że widzisz JWpan generał przed sobą dezertera, który chorągiew bez permisyi i tajemnie opuścił.

Usłyszawszy takie zeznanie, pan generał Mier trochę krzywo na mnie spojrzał i niechętnie się odemnie cofnął. Jam mu żalu za to okazać nie mógł, bom sam całego żywota mojego był tej mocnej i niewzruszonej konwikcyi, że żołnierz co znaki swe opuszcza, na hańbę i sromotną infamię się wystawia i poczciwość stanu swojego plami. Ale moja dezercya zupełnie innego była rodzaju, i radbym był widzieć oficera, choćby najstateczniejszym był a honor wojskowy w wyższej nad życie miał konsyderacyi, ażaliby inaczej sobie począł w takowej rzewnej a ciężkiej alternatywie, jaką Pan Bóg na mnie biednego był dopuścił...

Proszę ja tedy pokornie pana generała, aby mi łaskawie ucha swego użyczył i rozpowiadam mu po krótkości, jako się rzecz miała w ową na zawszę pamiętną wigilię Bożego Narodzenia. On tej historyi osobliwej nie bez rzewności wysłuchał, rękę mi podał i tak się ozwał:

— Według naracyi Waćpana postępek ten zupełnie inaczej się illustruje, niżbym ja był sądzić mógł od razu — a już najbardziej to Waćpana w opinii mojej rehabilituje, żeś zdradzieckim a podstępnym kształtem i w wieku dziecinnym jeszcze do służby zwerbowany został. Maszże Waćpan jakowe swej służby *testimonia?*

Miałem przy sobie patent mój i kilka certyfikatów regimentowych, w których konduita moja chwaloną była — te mu podałem; on je tylko oczyma przebiegł i tak się ozwał:

— Wiesz Waćpan, żeś mi się podobał, i że o jego losie chętnie pomyślę. W moim regimencie jest wakancya na rotmistrza, której dyspozycyę sobie rezerwowałem; przyjmiesz ją Waćpan?

Gdy mu za taką łaskę moją wdzięczność zamanifestować chciałem, on nie dał mi mówić, ale grzecznie mnie pożegnawszy, po południu przyjść kazał. Jakoż gdym się o naznaczonej godzinie u JMĆ pana generała stawił, adjutant jego doręczył mi patent na rotmistrza w regimencie Mirowskim i ordynans, abym zaraz do Warszawy jechał i w sztabie do aktualnej prezencyi się meldował.

Tak tedy na dobre mi wyszła ta komisya Radomska, na której zrazu samych tylko przygód i przykrych turbacyj zaznałem, i tak *Anno Domini* 1762 na nowo żołnierską służbę zacząłem.

ZAPATAN.

...Patent, który mi wydał JWpan generał Mier, miał wprawdzie walor dostateczny, jako od szefa regimentu wydany, wszelako za radą doświadczeńszych idąc a i sam potrzebę tego uznając, chodzić zacząłem za tem, aby mi z kancelaryi Króla Jegomości, jako Najwyższego gwardyi koronnej a zatem i regimentu Mierowskiego szefa, konfirmacya czyli patent osobny był ferowany. Dużo mnie to trudu i czasu kosztowało, zanim tam i sam biegając, a o instancye prosząc, takiego patentu się doprosiłem. Nareszcie otrzymałem dokument konfirmacyi z kancelaryi i z własnoręcznym podpisem Króla Jegomości, którego to patentu taki był *tenor:*

„Wszem wobec i każdemu z osobna, komu o tem wiedzieć należy, mianowicie jednak JOOym, JWWym, WWym Ich-Mościom Panom Generał-lejtnantom, Generał-Majorom, Pułkownikom, Obersztt-Lejtnantom, Majorom, Kapitanom, oraz innym wszystkim, wyższej i niższej szarży, Wojsk Naszych i Rzeczypospolitej Cudzoziemskiego Autoramentu, Sztabs- i Oberoficerom wiadomo czynimy, iż My przez wzgląd instancyi JWpana Miera, Generał-Majora Wojsk Naszych i Szefa Regimentu Naszej Gwardyi Konnej Koronnej tudzież przez wzgląd statecznych zasług JMĆpana Wita Narwoja, pierwszego niegdy w regimencie dragonii pruskiej porucznika, z przystojnego ułożenia, aplikacyi, chwalebnych przymiotów i znajomości służby żołnierskiej, dobrze Nam wiadomego, umyśliliśmy konferować Onemu szarżę kapitańską w Naszym regimencie Gwardyi konnej Koronnej, jakoż i aktualnie dajemy i konferujemy tym Naszym Patentem, obligując

wszystkich wyżwymienionych Ich-Mościów Panów Sztabs i Ober-Oficerów, ażeby odtąd pomienionego JMĆ pana Wita Narwoja, za aktualnego w przerzeczonym Naszym Regimencie Gwardyi Konnej Koronnej kapitana znali i rekognoskowali, zadosyć czyniąc, cokolwiek *pro gradu et munere* tej Szarży należeć mu będzie. Na co ten patent dla większej wagi i waloru przy przyciśnieniu Naszej podpisujemy pieczęci.

Dan w Warszawie r. 1763."

Kiedym wyjeżdżał do Warszawy, aby się w sztabie do prezencyi stawić i chorągiew moją objąć, markotno mi trochę było, a to z tej racyi, żem się nieładu i owej mizeryi żołnierza polskiego napatrzywszy, mocno tego obawiał, abym w mojej przyszłej służbie frasunków tylko daremnych nie zaznał, a na biedotę regimentu i szwadronu mego nie patrzył, nic na to poradzić nie mogąc...

Dał Pan Bóg lepiej, niżem się tego spodziewał, bo owo wszystko składniej i w uczciwszej kondycyi zastałem, niżeli po temu były aspekta. Dragonia Mierowska, czyli gwardya konna koronna najlepiej może usztyftowaną była ze wszystkich regimentów autoramentu cudzoziemskiego, a żołnierz w niej lepiej był ćwiczony niż to zazwyczaj za onych czasów w Rzeczypospolitei bywało. A był to wyjątek z polskiej reguły, bo kiedy Król Jegomość wszystkie swe saskie wojska pod Pirną mizernie utracił, a z elektorstwa swego rugowany przez Prusaków, w Warszawie *volens nolens* siedział, to własnego saskiego żołnierza nie mając, dragonię Miera do swej służby przeznaczył, zaufaniem ją swem i łaską monarszą honorując, z szkatuły swej prywatnej grosza nie skąpiąc, byleby ten regiment oku ludzkiemu uczciwie się prezentował, a dworowi Pańskiemu wstydu nie czynił.

Z takowej racyi regiment Mierowski i ekwipowany był i żywiony i płacony regularnie, a co mnie najmocniej radowało, do żadnych zacnego stanu wojskowego niegodnych posług nie był pociągany. A trzeba wam wiedzieć o tem, że bywało to gęsto, a nawet może i wszędzie w Polsce, że żołnierz autoramentowy wszystkiem bywał, i pachołkiem i kuchtą i fagasem, jeno nie żołnierzem. Najmowano go sobie do posług nikczemnych za wiedzą i rozkazem komendy — a nie było w Warszawie wielkiego obiadu, aby żołnierze w mundurach paradnych i lederwerkach nie byli używani do noszenia półmisków na stoły magnackie.

Działa się ztąd wielka krzywda honorowi żołnierskiemu; ano żołnierz bez uczciwej ambicyi a bez honoru szlachetnego, co zacz, jak nie najemnik nikczemny? Kuchni pańskiej a nie ojczyźnie sługując, na tem już nie jeden regiment sztukę swoją militarną z aplauzem kończył, że przy wiwatach biesiadnych na znak pana marszałka salwy strzelał, a to jedyny ogień bywał, w którym go prochu wąchać uczono.

Bywało pan szef regimentu, rzemiosła żołnierskiego tak samo świadom, jak ja hebrajskiego języka, innych panów u siebie gości, pół regimentu na podwórzu ustawi, a gdy się chce rangą swoją generalską popisać, z okna *Gib Feier!* zawoła, kontent sobie bardzo, że biesiadnikom honor wojskowy czyni. W regimencie Miera tego nie bywało. Żeby to było z ujmą majestatu Króla Jegomości, gdyby ten sam żołnierz, co jego dostojnej osoby strzeże, a w zamku monarszym straż trzyma, kuchni pańskiej pilnował, też nigdy żaden dragon z naszego regimentu do żadnej podłej posługi nie śmiał być komenderowany, a tak i mnie przyjemnie to było, oficerem być w takim pułku.

Do tego dodać jeszcze trzeba, że regiment Mierowski pełny miał *status*, i że moja chorągiew, jak i inne, dobrze była pokryta, sto koni mając. Był to sam piękny a dobrany żołnierz i dobrej reputacyi używał. Nie chodził też obdarty, jako to nieraz bywało, ale uczciwie i chędogo ubrany, mając mundur i moderunek cały z łaski Króla Jegomości w przyzwoitym porządku. A miała dragonia Mierowska kabaty czerwone, kamizelki i spodnie jasnego granatu, koliste płaszcze z lisztwami, sztylpy wysokie, a kapuzy czerwone na głowie — wszystko to chędogie i pasowne. Król Jegomość, dbając o swoją gwardyę, coś już na krótko przed śmiercią swoją sprawił był regimentowi całemu mundur okazały paradny, jakim się żaden inny pułk, nawet dragonia JMĆ pana koniuszego Wielopolskiego pochwalić nie mogła. Owo cały regiment miał od wielkiego święta kalety z łosiej skóry, kształtem francuzkim krojone, czerwonemi taśmami pięknie burtowane, na piersiach zaś i na plecach u koletów były dwie pozłociste gwiazdy, albo jakoby słońca.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

WALKA LISA ZE SZCZUPAKIEM I O MĄDRYM WOJTKU.

Rychło o wschodzie słońca powracał smutny lis do swojej dziury. Przez całą noc latał, a nic nie mógł ułowić, to też lisisko było takie głodne, że aż mu żołądek piszczał. Przechodząc ów lis obok wody, zobaczył potężnego szczupaka na miałkiej wodzie. Myśli sobie lis: teraz albo nigdy — dobra i ryba, a więc rzuca się na szczupaka, aby go z wody wyciągnąć i pożreć. Przeczuł szczupak, co mu grozi, dla tego zaczął walić potężnie ogonem i rozdziawił pysk, silnemi zębami uzbrojony. Lis szybko uchwycił za paszczękę i ciągnie do lądu, ale wnet poznał, że się przerachował, gdyż szczupak ścisnął silnie szczęki i nuże ciągnąć na głębinę, tak że lis nie mógł się wyrwać z czułych objęć swego przeciwnika, a za chwilę był już po brzuch we wodzie, dobywszy jednakże sił ostatnich, dostał się na mieliznę, ale na brzeg dojść nie mógł, ponieważ szczupak ciągnął, co miał siły. Zaczęła się zażarta walka o śmierć lub życie. Nieraz już lis miał szczupaka prawie na brzegu, ale czasem już był nieomal po szyję we wodzie. Kiedy tak w najlepsze dwa te zwierzęta bój toczą, nadchodzi Wojtek, pański fornal. Był to chłop wesoły, pracowity, a nadewszystko bardzo dowcipny. Umiał on sławne płatać figle o których nietylko cała wieś, ale nawet cała okolica mówiła.

Idzie tedy Wojtek, a że był człek wesoły, przeto sobie śpiewał krakowiaka. W tem nagle zoczy lisa i szczupaka wojujących. To było coś dla Wojtka. Wkrótce jednakże obawiając się, aby kto nie nadszedł, wskoczył szybko we wodę i wrzucił lisa z szczupakiem do miecha. Zwierzęta te tak się mocno zębami ścisnęły, jedno drugiego nie puściło. Idzie Wojtek z miechem i wyśpiewuje sobie, aż tu spotyka go arendarz Mosiek, który go tak powitał: „Aj, dzień dobry, panie Wojtek, a wy co tam będziecie nieść w tego miecha, a może to mali wol od tego waszego bestra krowa — ny ja będzie kupić i dobrze zaplacić."

Wojtek: Mały wół, mały wół; — czemu nie mówicie cielę. Aleć to zupełnie co innego, jest to coś bardzo ciekawego a delikatnego, właśnie idę z tem do wielmożnego pana.

Mosiek: No to mi pokażcie, wstąpcie jeno na chwilę do karczmy i wypijcie jednego, a my będziem robić fain geszeft.

Wojtek idzie do karczmy i kładzie miech na ławę — arendarz chce poruszyć miech, a wtem lis i szczupak zaczną się okropnie szamotać, że aż Mosiek przestraszony ucieka, mówiąc: „Aj waj, co to być, bo to wielkie i trzepie się — ny Wojtek pokażcie, a tu wypijcie kieliszek dobrego miodu, co to żołądek grzeje." Wojtek wypił, gdyż wódki nie pijał, a potem pokazał lisa i szczupaka. Żyd z podziwienia wytrzeszczył oczy, a po małej chwili rzekł: „Ny Wojtek, co wy chcecie z tego bydlęty robić?"

Wojtek: A co mam robić? Zaniosę do wielmożnego pana dziedzica, to się ucieszy, a mnie dobrze wynagrodzi.

Mosiek: No to my będziem iść razem i powiemy, żeśmy to bydło na spułkę ułapili, a potem ty weźmiesz połowę i ja połowę tego, co jaśnie wielmożny dziedzic darować, a jeszcze przydam dla waszej Jagny piękną chustkę.

Wojtek: Pleciesz, Mośku, obejdę się ja tam bez waszej łaski — czy ja to sam nie trafię do wielmożnego pana.

Mosiek: Aj waj, Wojtek jaki ty glupi. Jak ja pójdę, to jaśnie wielmożny pan dziedzic będzie dać więcej, a jak wy nie chcecie, to ja będę powiedziować, żeś ty ukradł te bydlęta, żeś ty tak umyślnie te pyski powtykał, aj waj, to będzie gewałt i wy Wojtek dostać baty.

Wojtek: Baty — ano kiedy mają być baty, niech i będą. No kiedyż mnie chcecie za złodzieja podać, toć już pójdę z wami, panie arendarzu, do dworu, ale pod tym warunkiem, że i drugą połowę z tego, co dostaniem, będę wam mógł darować.

Mosiek: Wojtek, jaki wy dobry chłop, aj

waj mir! Ale nie bójcie się, ja i drugą połowę wziąść, może to i tak lepiej będzie.

Wojtek: (uśmiechając się filuternie). A oczywiście, że lepiej, no to pójdźmy.

Pan Krzewiński, dziedzic owej wioski, bardzo się ucieszył, kiedy mu Wojtek lisa i szczupaka przedstawił. „A to osobliwość, panie dobrodzieju mówił, „Wojtek, mów co chcesz za te zwierzęta?"

Mosiek: Z psieprosieniem jegomości to my dwaj na spółkę ułapić, to też się będziemy dzielić.

Wojtek: Tak jest, jaśnie panie, ponieważ ten Żyd należał do połowu, to też niech połowę dostanie z mojej nagrody. Ale mam prośbę do jaśnie wielmożnego pana.

Krzewiński: No mów, przecież wiesz, że chętnie uczynię wszystko, co w mojej mocy.

Wojtek: Otóż chciałbym prosić, aby mi było wolno i tę drugą połowę nagrody arendarzowi darować.

Mosiek: Ny niech się jegomość zgodzi, a ja Wojtkowi to wynagrodzę.

Krzewiński: Nic z tego nie rozumiem, bo jeszcze nie wiem, jaka ma być nagroda, widzę tylko, że ten szelma Żyd chce cię orznąć, mój Wojtku.

Wojtek: No to się pokaże, a więc mogę liczyć na pańskie słowo, że jak będę chciał, i drugą połowę mogę darować

Krzewiński: Mniejsza o, to masz moje słowo, że uczynię wszystko, co będzie w mojej mocy.

Wojtek: Już ta rzecz będzie w pańskiej możności, bo ja za całą nagrodę proszę tylko o 50 batów.

Krzewiński: Mój Wojtku, co ty robisz? Przecież nie będziesz chciał batów jako nagrodę?

Wojtek: Mam pańskie słowo, a więc proszę o baty.

Mosiek: Aj waj — niech jaśnie wielmożny pan temu nie wierzy, bo to wszystko kłamstwo — ja wcale do spółki nie należeć, ja o niczem nie wiedzieć, ten Wojtek to złodziej, on tego lisa ukraść i tego szczupaka ukraść i pyski im powkładać, aby mnie biednego Żydka w kłopot wprowadzić. To ja już sobie pójdę.

Krzewiński: Oho, to tu jakieś szachrajstwo. Żydzie, zostaniesz tu, A więc ty, Wojtku, naprawdę chcesz baty.

Wojtek: A tak dopraszam się łaski jaśnie wielmożnego pana.

Krzewiński: Ha niech i tak będzie. Zawołać tu włodarza i Antka, niech też przyniosą ławę i bat i niech sypną mu 50 odlewanych, kiedyć go tak skóra świerzbi.

Wojtek: Podług ugody ma dostać połowę nagrody Mosiek, a więc proszę uniżenie, aby mu najprzód 25 batów sypnąć.

Krzewiński: A toś ty filut mój Wojciechu. Ha, trudna rada, sam ugodę słyszałem, słowo dane bierzcie Żyda.

Włodarz z parobkiem pochwycili Mośka, położyli na ławę i sypnęli mu 25 uczciwych batów, że aż Żyd krzyczał w niebogłosy.

Krzewiński: No Wojtku, a jakżeż teraz będzie z drugą połową batów.

Wojtek: Proszę jaśnie wielmożnego pana, ja nie taki, ja i tę drugą połowę Mośkowi daruję.

Krzewiński: Możeby to było za wiele — ale niech Żyd szachraj pokutuje. Mosiek albo dostaniesz drugie 25 batów, albo się wykup Wojtkowi. Ot wiesz co, dasz 50 złotych Wojtkowi, a on może cię zwolni od przyjęcia tej nagrody.

Żyd w płacz i w targi — tak że odtargował połowę, ale 25 złotych musiał Wojtkowi zaraz zapłacić, a pan dołożył drugie 25 złotych, tak że Wojtek od razu przyszedł w posiadanie 50 złotych. Nie na tem koniec; chłopi tak się zaczęli z Mośka wyśmiewać, tak mu dokuczali, że porzucił karczmę, którą po nim objął Wojtek. Lepiej było ludziom we wsi, gdyż pijatyka zniknęła. Wojtek usilną pracą i oszczędnością kupił sobie później ładne gospodarstwo. Opowiadał on nieraz to zdarzenie, a umiał tak nadrabiać miną, że słuchacze kulali się od śmiechu. W końcu zawsze dodawał: „Widzicie to było rano, kiedym zobaczył tego lisa i szczupaka, a kto rano wstaje temu Pan Bóg daje".

(Koniec.)

OPACTWO CARROW

— PRZEZ —

J. F. SMITH

Z ANGIELSKIEGO.

CZĘŚĆ PIERWSZA:

ZAMEK CARROW.

(Ciąg dalszy.)

XXIV.

Z gorączkową niecierpliwością Miran-Hafaz liczył godziny i minuty od chwili wyjazdu kapitana Elton. Z pozoru wydawał się zupełnie spokojny; oko tylko zdradzało burzę, jaka w nim wrzała. Bywają okoliczności w życiu człowieka, gdzie każda chwila zdaje się wiekiem udręczenia, kiedy czas zdaje się nam wstrzymany w biegu, i wtedy to daje nam niby próbę tego, czem być musi cała wieczność męczarni.

Khan siedział przy boku Mirana. W twarzy jego malowało się głębokie współczucie z boleścią połączone. Starzec kochał swego wychowanka, pomimo jego usposobienia gwałtownego i dziwactwa; znał go od dziecka i służył mu wiernie; z żalem widział zgubne skutki złego wychowania, które zniszczyło zarody najlepszych przymiotów młodzieńca, nim jeszcze rozwinąć się mogły; niebaczna księżniczka zepsuła go bowiem nieograniczonem pobłażaniem, obudziła w nim uczucie pychy niepochamowanej i zarozumiałość o wyższości swej nad innymi z powodu bogactw i urodzenia, i. przytłumiła w jego sercu i umyśle najszlachetniejsze zalety, nad któremi pycha i samolubstwo jedynie górowały.

— Czyż się go już nie doczekam? — mruczał przez zęby zaciśnione młodzian. — Boże! jak-że godziny powoli się wloką!

— Tyś chory, Miranie, i bardzo chory, — mówił Khan, — ogień, który cię trawi, wzmaga się za każdem wysileniem, które sobie zadajesz, aby go stłumić.

— Wyzdrowieję wkrótce! — odpowiedział Indyanin z złowrogiem uśmiechem, — krew mojego wroga uśmierzy moją gorączkę! jak mi puls gwałtownie bije! — dodał wyciągając do starca swoją drobną rękę, a jednak, spokojny jestem, jak widzisz, zupełnie spokojny.

— Potrzebaż ci koniecznie odebrać życie temu młodemu chłopcu, by twojej nienawiści zadość uczynić?

— Koniecznie, zginąć musi!

Odpowiedź ta była wyrzeczona tonem tak lodowato-obojętnym, jakby szło o rzecz najzwyczajniejszą w świecie; ale właśnie z braku wszelkiego uniesienia gniewu, tem straszniejszą ją czynił, nadając tym wyrazom nieugiętość i nieczułość.

Nastała chwila przerwy, w czasie której Miran i jego sędziwy towarzysz spoglądali na siebie w milczeniu. Choć nigdy nie wyrzekli między sobą słowa, któreby nieufność zdradzało wzajemną, wszelako widocznem było, że węzeł dawnego zaufania był zerwany; nie rozmawiali z sobą z otwartością, z jaką niegdyś przywykli myśli swoje wzajemnie wynurzać. Młody Indyanin zaczynał mieć w podejrzeniu swojego dawnego mentora, że sprzyja jego przeciwnikowi

więcej, niż sam chce przyznać. Jak większa część jego współziomków, był niezmiernie zazdrosnym, i ta jedna okoliczność w braku każdej innej byłaby dostateczną, by spowodować nienawiść jego ku Henrykowi.

Nareszcie usłyszał tętent kopyt końskich na piaszczystej drodze do Bungalore-Hall wiodącej. Byłby poznał odgłos kopyt swojego wierzchowca z pomiędzy tysiąca innych; nie trudno mu więc było teraz je rozeznać.

Po raz pierwszy dopiero okazał widocznie niecierpliwość, która nim miotała. Lekkim skokiem zerwał się z posłania, a oczy jego zaiskrzyły się szaloną radością.

— To on! — zawołał.

— To kapitan Elton! — rzekł spokojnie Khan, który także powstał, by wyjrzeć oknem.

Za kilka chwil kapitan wszedł do pokoju.

— Jaki skutek! — zawołał Miran, — nie chcę szczegółów. Co do warunków, zgadzam się na wszystko z góry, nie znając ich jeszcze. Czy przyjął wyzwanie?

— Tak jest, — odrzekł posłannik Mirana.

Z westchnieniem głębokiego zadowolenia, jakie zwykliśmy wydawać wskutek doznanej ulgi w cierpieniu albo po oswodzeniu z niebezpieczeństwa, które nam nieuchronnie groziło, rzucił się Indyanin na wezgłowie, z którego był się przed chwilą zerwał. Otrzymawszy zapewnienie, że jego przeciwnik stanie przed rurką jego pistoletu, który nigdy nie chybiał celu, reszta mu była prawie rzeczą obojętną.

— Kiedyż nastąpi spotkanie? — zapytał.

— Dziś wieczór, o szóstej godzinie, na błoniu do gminy należącej.

— Niech to się odbędzie obok owej przepaści, gdzie wykopują piasek! — zawołał, — aby jego ostatnie spojrzenie upadło na to miejsce, gdzie ocalił życie Elleny, gdzie pierwszą zatlił iskrę swej zarozumiałej nadziei!

— Czy mam obejrzeć broń twoją? — zapytał go Khan.

Miran z niedowierzaniem patrzał na niego przez długą chwilę, nim się zdobył na odpowiedź. Nie było nic nadzwyczajnego w tem pytaniu; ale jakieśmy już wspomnieli, węzeł obopólnego zaufania, choć nie zerwany, był jednak osłabiony.

— Nie potrzeba, — odrzekł powoli, — sam ją oglądnę.

Odstępca zniósł bez pomięszania badawcze spojrzenie swojego pana i wychowańca. Rysy jego nie zdradzały bynajmniej niespokojności, która wrzała w jego łonie; twarz jego pozostała jak zazwyczaj, lodowata i niezmieniona. Zupełne panowanie nad sobą było jedną z tych korzyści, które zaprzaniec z długiego przebywania na Wschodzie w wysokim stopniu nabyć potrafił.

— Przyjdziesz dać mi znać o czwartej godzinie! — dodał Miran osłabłym głosem. — Teraz pragnę samotności... Przyjm stokrotnie dzięki, kapitanie Elton, za przysługę wyświadczoną mi w tej okoliczności. Ale, ale, zapomniałem zapytać, kto też będzie sekundantem mojego przeciwnika?

— Otóż to właśnie, co mnie najmocniej zadziwiło, — odpowiedział jego posłannik. — Nie kto inny, tylko Mowbray.

— Brat wujeczny Elleny! — szepnął Indyanin z goryczą, bo widział w tem nowy dowód miłości młodej dziewicy dla szczęśliwego współzawodnika. — Mniejsza o to! wszystko mi teraz jedno!

Gdy się obecni oddalili z pokoju Mirana, prosił Khana, aby mu kazał podać kawy o czwartej godzinie. Nie miał bowiem w ustach żadnego posiłku od czasu owego zajścia z Henrykiem w zwierzyńcu.

— Sam ci ją przyrządzę! — rzekł renegat wychodząc.

Miran mie mógł znaleźć spoczynku; wzburzone namiętności usnąć mu nie dawały. Wyobraźnia stawiała mu przed oczy obraz pojedynku z współzawodnikiem; mniemał widzieć go, jak pada śmietelnym strzałem ugodzony, a widok jego konania sprawiał mu dziką rozkosz.

Następnie obraz Elleny, która go kochała z serdecznością siostry, stanął przed jego oczami; wylewała łzy nad grobem Henryka a te jej łzy, wymarzone tylko w jego gorączkowem widzeniu, pomnażały jeszcze nienawiść Mirana ku chłopcu, który mu tak bezwiednie stanął w drodze.

— Zapomni o nim! — rzekł sam do siebie. — Zara mnie zapewnia, że to chwilowe uczucie powstałe tylko z nadmiaru wdzięczności, a może nawyknienia. Nie zdoła oprzeć się takiej ognistej miłości, jaką ja ku niej goreję! Gdy zginie Ashton, odżyją w niej dawniejsze wspomnienia i uczucia. Ona jest mojem istnieniem, nie mogę żyć bez niej; Bóg ją nie stwo-

rzył na moją zgubę!... Znam jej dobroć wrodzoną... po gniewie litość wstępuje w jej serce, uśmiech łzy jej osuszy... moje poświęcenie, moja tkliwość rozbroi jej niechęć i przebaczenie mi zjedna!

W tem Khan zapukał do drzwi na znak, że czas już wstawać. Zachwiał się nieco powstając z posłania, gorączka na mózg uderzyła. Gwałtownem wysileniem całej swej energii pokonał to chwilowe osłabienie, i spiesznie dokończył ubrania.

Gdy Kapitan Elton i renegat weszli do jego pokoju, już go znaleźli gotowego. Jenerał Bouchier był także z nimi; uścisnął serdecznie rękę Indyanina, bo miał trochę na sumieniu wczorajszą ku niemu obojętność.

— Dasz więc naukę temu zuchwalcowi, jak się ma zachować przyzwoicie między ludźmi naszej sfery? — rzekł do niego. — Spodziewam się, że nauka nie pójdzie w las!

Miran uśmiechnął się zamiast odpowiedzi.

— Wszelako, — mówił dalej jenerał, — mógłbym mieć do ciebie urazę. Przez wzgląd na dawniejszą między nami zażyłość, powinienbyś mię wziąść za sekundanta. Ale nie wątpię, — dodał kłaniając się kapitanowi, — że honor twój w bezpiecznem jest ręku... Pozwolisz przynajmniej bym ci towarzyszył?

Ta prośba była zbyt podchlebną, aby odmówić zezwolenia.

— O której godzinie ma się odbyć pojedynek?

— O szóstej.

— W takim razie czas udać się w drogę, — rzekł jenerał spoglądając na zegarek. — Radziłem Pepperowi, aby kazał spóźnić objad do ósmej godziny.

Pałając niecierpliwością, aby coprędzej wyjechać, Miran zapominał o kawie, którą sobie przysposobić kazał, a Khan nie śmiał mu o tem przypomnieć. Widząc młodzieńca blizkiego odjazdu, rzucił ku drzwiom wzrokiem rozpaczliwym, i dopiero swobodniej odetchnął, gdy służący Hindustański wszedł z tacą, niosąc kawę swemu panu.

Miran wychylił z pośpiechem ulubiony napój. Oczy Khana zabłysły zadowolnieniem i niebawem odzyskał zwykłą sobie spokojność.

— Czy ci już lepiej teraz? — zapytał.

— Rzeczywiście, czuję skutek zbawienny tego posiłku, — odpowiedział Miran, oglądając bacznie pistolety. — Ręka moja odzyskała siłę, gorączka zmniejszyła się cokolwiek.

Wkrótce towarzystwo całe, złożone z Mirana, kapitana Elton, jenerała Bouchier i Khana, wyszło z domu, po za którym czekał na nich pojazd, aby nie byli postrzeżeni przez gospodarza willi Bungalore-Hali i jego gości.

Pomagając Miranowi wsiąść do powozu, kapitan Elton zauważył jego osłabienie; młodzieniec zaledwie mógł się utrzymać na nogach.

— Polepszy mi się, skoro stanę na placu walki, — rzekł upadając na siedzenie, — widok mojego przeciwnika przywróci mi siły!

— A może nie! — pomyślał jego opiekun siadając naprzeciw niego i wpatrując się weń z zajęciem i tkliwem współczuciem.

Przygotowawszy sam kawę dla swojego młodego pana, mógł najlepiej wiedzieć, czy go oczekiwane polepszenie zawiedzie lub nie. Nie możemy bowiem zamilczeć naszym czytelnikom, że starzec ważne, choć tajemnicze miał powody życzenia sobie, aby pojedynek między dwoma zapaśnikami bez krwi rozlewu się odbył.

— Proś, by jechano z największą szybkością, — rzekł młodzieniec do służącego, który zamykał drzwiczki karety. — Dwadzieścia gwineów dla stangretów, jeżeli staniemy przed godziną na miejscu!

XXV.

Ellena domyśliwała się, że nastąpi pojedynek między jej narzeczonym a dawnym towarzyszem lat dziecięcych. W dręczącej niespokojności oczekiwała przybycia Henryka, a skoro go ujrzała, wymogła na nim, że jej wyznał prawdę, którą zamierzał przed nią zataić. Ale głos honoru pokonał w końcu obawę trwożliwej kochanki.

— Zapomnij o słabości mojego serca strwożonego o życie twoje, zapomnij o wszystkiem, coby uczuciu twojej godności sprzeciwić się mogło, — rzekła z wysileniem, i opierając głowę na piersi młodzieńca, rozpłakała się jak dziecko na łonie matki.

Tymczasem zbliżała się godzina wyznaczona do schadzki. Henryk niespokojne rzucił dokoła wejrzenie, gdy nagle drzwi się otworzyły i wszedł baronet.

— Ha! to sir William Mowbray! — krzyknął zdziwiony.

— On sam! — odparł tenże biorąc w swe objęcia omdlewającą Ellenę. — Przychodzę czuwać nad biednem dzieckiem... Walter czeka na ciebie przed gankiem, — dodał zcicha.

Te słowa dały Henrykowi do zrozumienia, że baronet o wszystkiem uwiadomiony. Uścisnął w milczeniu rękę swojego szlachetnego opiekuna, potem złożył pocałunek, ostatni może, na czole kochanki, i wyszedł z galeryi. Przechodząc przez korytarz, spotkał Zarę, która nań rzuciła spojrzenie tryumfu i nienawiści; nie wątpiła, że jej ulubiony wychowanek wkrótce kulą przeszyje serce swojego młodego współzawodnika.

Gdy weszła do galeryi obrazów rodziny, by ofiarować swe usługi młodej swej pani, ta wzdrygnęła się za jej zbliżeniem, jakby z instynktem zgrozy, i mocniej przytuliła się do wuja. Wiedziała, że ayah jest nieżyczliwą Henrykowi Ashton.

— Ja sam zostanę przy mojej siostrzenicy, — rzekł baronet łagodnie, — w swojem strapieniu potrzebuje ona serca przyjaznego, któreby jej pociechy i rady udzielić mogło.

W tej chwili tętent koni, które się szybkim pędem oddalały główną aleą piaskiem wysypaną, obudził Ellenę z jej omdlenia. Wyrywając się z objęć sir Williama, pobiegła do okna, by przesłać ostatnie pożegnanie narzeczonemu swojego wyboru.

— Już odjechał! — zawołała ze łkaniem, — odjechał! może już go więcej nie ujrzę! serce moje pęka z boleści! — dodała patrząc za odjeżdżającymi, których już z poza drzew dojrzeć nie mogła.

Kiedy Joe Beans wziął strzelbę swojego panicza i wyszedł z folwarku, nie miał jeszcze celu wytkniętego, co chciał uczynić; niepewne tylko jakieś przeczucie ostrzegło go, że niebezpieczeństwo grozi Henrykowi.

Owe zajście nocne w chacie Willa Sideler zostało dla niego niezrozumiałem. Pogrążony w domysłach szedł przez błonie, gdy nagle ujrzał z daleka Dick Martina. Podobnie jak większość wieśniaków w okolicy, miał wielkie zaufanie w rozsądek starca; pobiegł ku niemu, chwycił go za rękę, i rzekł głosem zafrasowanym.

— Nieszczęście grozi mojemu paniczowi!

— Wiem o tem, — odrzekł starzec spokojnym głosem.

Joe zdumiony otworzył szeroko oczy i usta.

— Będzie miał pojedynek! — mówił dalej stary masztalerz.

— Cóż to takiego ma znaczyć? — zapytał przerażony chłopak.

W kilku słowach wytłumaczył mu Dick Martin, jakie to niebezpieczeństwo groziło życiu jego młodego pana, a poczciwy chłopiec przysiągł, że gdyby co złego spotkało Henryka, to on pomści się za niego.

— Ejże! a cóżbyś zrobił? — zapytał stary, patrząc nań ciekawie z pod swych gęstemi rzęsami zarosłych powiek.

— Jak wronę zabiję tego, coby się targnął na życie master Henryka, choćby to był największy magnat w kraju! — zawołał Joe ściskając strzelbę.

W mgnieniu oka twarz starca odmienny przybrała wyraz; zły humor ustąpił, a życzliwość zajaśniała w jego oczach.

— Tego nie należy czynić, Joe, — rzekł z łagodnością, — nie zrobisz tego, jestem pewny!

— Owszem, z pewnością to uczynię! — powtórzył Joe stanowczo.

Jakiś czas postępowali obok siebie. Joe w nadmiarze swej złości opowiedział staremu, co widzieli owej pamiętnej dlań nocy u strażnika w chacie Willa Sideler; spodziewał się usłyszeć jego zdanie o tem, ale Marcin nic na to nie odrzekł; był to dla małomównego staruszka nowy przedmiot do głębokich rozmyślań w stajni, która była jego gabinetem dyplomatycznym.

— Joe, to ładna strzelba, — rzekł po długiem milczeniu.

— Prawda że piękna? — odrzekł chłopak z uśmiechem zadowolonej dumy, obracając ją z miną znawcy.

— Osada nieco za ciężka, zdaje się.

— O wcale nie; oglądnijcie no lepiej, — i to mówiąc, oddał broń w ręce starego myśliwca, który ją powoli ważył w ręku, potem oparł kolbę na ramieniu.

— Strzeżcie się! — rzekł Joe, — ostro nabita.

— Czy istotnie?

— A nie mam z sobą drugiego naboju.

— Tem lepiej, — rzekł ozięble starzec,

i wystrzeliwszy w powietrze, oddał broń chłopakowi.

— Cóżeście zrobili? — rzekł Joe z gniewem.

— Spełniłem obowiązek. Serce twoje, chłopcze, lepsze jest niz głowa! Teraz nie masz już możności popełnienia niepotrzebnego głupstwa i pomogę ci poszukać Henryka Ashton. Dziwne jesteśmy stworzenia! dodał z uśmiechem. — Ja, co nie dbam o nikogo więcej prócz mojego pana, oddałbym chętnie resztę życia, byleby ochronić od nieszczęścia tego młodego człowieka!

— Czy istotnie mówisz szczerą prawdę? — zawołał Joe ściskając serdecznie jego rękę. — Kiedy tak! to poczciwy z was człowiek, pomimo, że przebiegły jak liszka stara. Przebaczam wam tego figla ze strzelbą... Któż to wie, może lepiej, że się tak stało!

— To bardzo być może, że dobrze zrobiłem! — odrzekł Marcin obojętnie.

XXVI.

Gdy goście sir Jaspera Pepper przyjechali do miejsca, gdzie się miał odbyć pojedynek, jenerał Bouchier i kapitan Elton zaledwo zdołali powstrzymać okrzyk zdziwienia, spostrzegłszy stan Mirana. Myśleli, że to wskutek bojaźni. Kiedy przy pomocy ich wysiadł z powozu, drżał na całem ciele, a czarne jego oko, którego blask porównać można było do orlej źrenicy, zdawało się przygasłe i mgłą zaszłe, jakby cień śmierci nad nim zawisnął.

Khan był milczący i zamyślony. Niekiedy spoglądał niespokojnem okiem na swojego młodego pana; zdawał się obliczać w myśli, jak długo jego żelazna wola zdoła pokonywać gorączkę, która go trawiła, i skutki napoju, który mu przyrządził. Drżał z niespokojności, jak się ta sprawa zakończy; wiedział bowiem, że jedna chwila zimnej rozwagi, jedno wysilenie całej energii dla przezwyciężenia omdlałości, która jak zdradliwa trucizna, owładnęła młodego Indyanina, dostateczną będzie, aby zgubić Henryka Ashton. Nigdy jeszcze się nie wydarzyło, aby strzał jego chybił celu.

Nieszczęśliwy starzec doznawał wyrzutów sumienia z powodu niegodziwej roli, jaką odgrywał wobec młodziana powierzonego jego opiece; mimo wszelkich przywar, kochał syna swego przyjaciela Ryszarda Musgrove. Sprzeczne uczucia obowiązku i przywiązania staczały walkę w jego umyśle, pierwszy to raz użył podstępu względem swojego ukochanego wychowanka. Bez wątpienia miał do tego słuszne powody, zawsze jednak dopuszczał się zdrady, bo Miran pokładał w nim zaufanie.

— Mój Boże! — mówił kilkakrotnie sam do siebie, — droga odpokutowania jest rzeczywiście kolcami i cierniem usłaną!

Było to dla niego niejaką ulgą, gdy się przekonał, ze Henry Ashton i jego sekundant jeszcze nie przybyli na plac boju.

Jenerał spojrzał na zegarek, brakowały dwie minut do szóstej.

— Darujemy im jeszcze dziesięć minut, według przyjętego zwyczaju, — rzekł a potem ostrzelimy plac i w sam czas wrócimy na objad. Trzeba przyznać, że kucharz sir Jaspera doskonale umie przyprawiać żółwia... Albo ten wczorajszy roastbeef! byłby przyniósł zaszczyt samemu Vatelowi. Gdzie on do licha znalazł tego człowieka?

Nim kapitan miał czas odpowiedzieć, ujrzano dwóch jeźdźców pędzących ku nim z największym pospiechem.

— To zapewne nasz przeciwnik! — zawołał jenerał. — Nie wątpiłem, że się stawi na czas.

Za kilka sekund, Walter i Henryk byli już na miejscu. Przywiązawszy konie do drzewa, przystąpili spokojnie do czekających, których powitali z tą zimną i wyrachowaną grzecznością, jakiej wymaga polor światowy od tych, co się spotykają, aby się zabijać według wszelkich przepisów oświaty i etykiety.

Aby oddać sprawiedliwość naszemu bohaterowi, przyznać należy, że chociaż przyjął wyzwanie swojego współzawodnika, w głębi serca nienawidził zasady pojedynkowania się, które zarówno moralność jak i rozum słusznie potępiają; ale czyż można mu wziąść za złe, że się lękał pogardy świata?

— Spodziewam się, żeśmy nie dali panom czekać na siebie, — rzekł Walter do kapitana, który trzymał zegarek w ręku.

— Nie możemy się na to uskarżać, — odrzekł tenże z uprzejmą grzecznością.

— Istotnie, że nie! dodał jenerał łagodnie, — zaledwie jest dwie minut po szóstej.

Ośm minut więcej, byłoby im dało prawo cofnąć się i ogłosić Henryka Ashton tchórzem.

Na widok znienawidzonego rywala, Miran jakby cudem odzyskał siły i przytomność umysłu; ale pot zimny, który wystąpił na jego czoło i straszny wyraz jego zaiskrzonych oczu widocznym były dowodem, jak gwałtowne czynił usiłowania, żeby nie zdradzić swych cierpień fizycznych.

— Przepadł! — mruknął Khan spojrzawszy litościwie na Henryka, — nic go teraz nie ocali!

Dwaj sekundanci zbliżyli się nawzajem, aby oglądnąć pistolety, odmierzyć odległość i zrobić niezbędne przygotowania. Ułożono, że każdy z przeciwników użyje swojej własnej broni i będzie strzelał na dwadzieścia kroków.

— Czyś gotów? — zapytał Miran swojego sekundanta, a głos jego zdradzał wewnętrzne wysilenie i pasowanie się z cierpieniami ducha i ciała.

— Za chwilę, — szepnął kapitan; — wyznaczyłem mu miejsce przed tym skarłowaciałym dębem... nie możesz go chybić.

Indyanin tylko złowrogo się uśmiechnął; nie miał obawy, ale się tylko lękał, żeby siła jego żelaznej woli nie ustąpiła temu omdleniu, które owładnęło całem jego ciałem. Khan, który go bacznym śledził wzrokiem, uważał, że oczy jego krwią zaszłe, zaczynały na nowo przygaszać.

— Gdybym o kilka sekund mógł jeszcze spóźnić fatalne hasło — pomyślał w duchu byłby ocalony!

Zajęty nieustannie tym zamiarem, zbliżył się do miejsca, gdzie stał jenerał Bouchier, i zaczął mu jakieś czynić przedstawienia w indyjskim języku.

— Bardzo przepraszam, ale muszę przerwać pańskie rozporządzenie, — przemówił jenerał zbliżając się do kapitana Elton, — niekorzystnie umieściłeś pan swojego przyjaciela ma słońce prosto w twarz!

Sekundant Mirana tak był skwapliwy postawić Henryka równolegle z drzewem wyż wspomnianem, że bez uwagi pominął tę niedogodność.

— To nic nie szkodzi! — zawołał Indyanin ochrypłym głosem, — zostawiam mu tę korzyść nademną!

Ale jenerał był człowiekiem upartym, nie lubiącym odstąpić od swojego, skoro co raz wyrzekł. Podczas gdy znów rozpoczynano mierzyć odstęp między przeciwnikami, jenerał zaczął wytłumaczać Miranowi niedogodność takiej pozycyi, który klął go w duchu za to opóźnienie.

Nareszcie ukończono wszystkie przygotowania; zaspokojono nieubłagane przepisy etykiety najściślejszej. Sekundanci wręczyli broń zapaśnikom. Kapitan postrzegł z przerażeniem, że ręka Mirana jak ogień była gorąca.

— Nieba czemuż tego nie wiedział prędzej! — zawołał. — Pan nie jesteś wstanie bić się teraz, masz silną gorączkę.

— Mniejsza o to!

— Jeszcze nie jest za późno, — mówił dalej kapitan cichym głosem.

— Jestem gotów! — wykrzyknął Indyanin z natężeniem.

— Niech cię Bóg wspiera, Henryku! — rzekł Walter Mowbray, — Gdyby cię nieszczęście spotkało, niejedno serce żal by ogarnął... i masz przyjaciela, który pomściłby się twej zguby!

— Nie umiem ci dostatecznie podziękować, — odparł młody Ashton, — nie jest to chwila stosowna do oświadczeń. Jeżeli polegnę, ostatnie moje myśli będą o tobie i Ellenie; przyjaźń i miłość, które stanowią moje szczęście, będą moją śmierć opłakiwać!

Zgodzono się na to, że jenerał Bouchier, uważany w pewnym względzie jako nie należący do żadnej strony walczących, da hasło rozpoczęcia.

Sekundanci usunęli się na bok, współzalotnicy stali na przeciw siebie. Henryk myślał o narzeczonej, której miłość miała mu życie przyozdobić, a której serce boleścią rozdarte będzie po jego zgonie. Miran podobny był do wulkanu, gdy lawa ognista szczytów jego dosięga. Natchnienie zazdrości i nienawiści, oraz uczucie pychy niepochamowanej, podtrzymywały jeszcze siły jego zwątlone. Była to dlań straszna chwila, bo mu się zdawało, że mózg rozsadzi mu czaszkę wskutek niesłychanego natężenia, jakie czynił, by się przy zmysłach utrzymać; i bez ustanku rzucał wzrokiem prawie konającym, z wyrazem błagania i niecierpliwości ku jenerałowi, który z chustką w ręku, gotował się dać znak strzelania.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NIEUCZYNNOŚĆ.

Powieść.

Pani L. miała dwie córki, Józię i Emilkę. Józia była niezmiernie roztropna. Prawie od pierwszego dzieciństwa postępowanie jej okazywało się tak nienaganne, tak dokładnie wypełniała powinności swoje, iż rzadko kiedy zachodziła potrzeba jej strofowania. Wdrożona wcześnie do prawdziwego i najlepszego posłuszeństwa, słuchała od razu, bez dąsania się i wymawiania; matka też nie rozkazywała jej nigdy; często nawet mówić nie miała potrzeby, spojrzała tylko na córkę i już zadosyć było, już dziewczynka wiedziała co ma robić, i tak robiła. — Józia tedy w dwunastu leciech odznaczała się dorzecznością, uwagą i pięknem ułożeniem. Kiedy była wśród starszych, nie mieszała się nigdy do rozmowy, owszem słuchała pilnie i ze skromnością; gdy ją o co zapytano, odpowiadała stósownie, umiarkowanym głosem, strzegąc się zarówno żywych i cierpkich odpowiedzi, jak zbytniej i mrukliwej nieśmiałości, która nibyto ze wstydu i pokory, a najczęściej z uporu i krnąbrności pochodzi.

Józia uchodziła za panienkę bardzo dobrze wychowaną; obcy ją chwalili, towarzyszki polegały na jej zdaniu, lecz brakowało jej na największem szczęściu i bogactwie; nie miała przyjaźni ludzkiej, miłości powszechnej.

Przecież Józi serce było szlachetne i dobre; nie szydziła z nikogo ani z niczego, nie obmówiła ani nie oskarżyła nikogo, nie zrobiła plotki żadnej, nie ściągnęła na nikogo połajania, nie pokłóciła się z nikim, ale nie była uczynną. Czyniła dla drugich to jedynie, czego wymagała konieczna obyczajność i ścisła sprawiedliwość, a nie więcej. Zrobić jakąkolwiek z siebie ofiarę, poświęcić własną przyjemność dla drugich myśleć o kim pierwej niźli o sobie, były to dla niej rzeczy nieznane. Kiedy na przykład przyszedłszy pierwsza w jakie miejsce, zastała najwygodniejsze krzesło wolne, zasiadała na niem i nie ustąpiła się nikomu. Kiedy jej podano półmisek u stołu przed drugimi, nie oglądała się wcale, czy dla wszystkich wystarczy, brała co jej się podobało. Kryła starannie książki, zeszyty, wszystkie swoje rzeczy; nie tylko pożyczyć, pokazywać ich nie lubiła; wolała daleko darować czasem rzecz kosztowną, którą się nacieszyła, jak użyczyć na chwilę rzeczy najdrobniejszej, sobie dogodnej. Jeśli komu co na ziemię upadło, albo szukał czego, lub też potrzebował kogo, zdawało się, że ona tego ani widzi, ani słyszy, nie ruszała się z miejsca.

Gdyby z takiem samolubnem usposobieniem Józia była charakteru nieuważnego, roztrzepanego, gdyby była nieporządna, albo leniwa, gdyby gubiła klucze, rękawiczki, chustki, gdyby jej się co w ubiorze psuło, gdyby nie dopełniała zadań na lekcyę, gdyby robót różnych dokładnie nie umiała, byłaby zapewne nauczyła się uczynności, bo potrzebując często pomocy drugich, byłaby musiała być wzajemną, ale zawsze roztropna, uważna, porządna, wystarczająca sama sobie, drugich o nic nie prosiła i osądziła, że drudzy niczego od niej wymagać nie mają prawa. — Lecz Józia, jak wiemy, miała szlachetne i dobre serce, nie raz też jak komu czego odmówiła, żałowała po chwili, i gdyby ją był drugi raz prosił, byłaby zrobiła czego żądał, ale któż się naraża na powtórzenie prośby? Raz się naprzykrzyć nie koniecznie miło! cóż dopiero doznawszy odmowy.

Młodsza siostra Józi, Emilka, była wcale odmiennego charakteru, jakby innych rodziców dziecię. Najlepsza osoba w świecie, ale niepojęcie roztrzepana, zawsze gotowa wszystko uczynić dla drugich, nie zastanowiwszy się nawet, czy uczynić może, zawsze skłonna do pożyczenia, do darowania wszystkiego, gdyby na nieszczęście wszystko nie było zwyczajnie popsute, nie skończone, powalane, albo zarzucone,

Mimo takich sprzeczności w charakterze, dwie siostry dosyć zgodnie z sobą żyły, bo jeżeli Józia nic nie chciała nigdy uczynić dla Emilki, Emilka nie mogła mieć długo żalu do niej. Równie dobra jak lekka, zapominała w następnej chwili o tem, czego w poprzedniej najmocniej pragnęła. Mając niezmierny szacunek i uszanowanie dla siostry, z powodu jej roztropności, pilności i porządku, owych wszystkich przymiotów, na których jej brakowało, polegała zupełnie na jej zdaniu i pełniła święcie jej wolę. Pogniewać się na nią, odpowiedzieć jej hardo, byłaby sobie poczytała za grzech. — Józia lubiła bardzo Emilkę, kochała ją nawet po swojemu, gotowa była zawsze dzielić każdą jej radość, smucić się jej strapieniem, tęskniła za nią, skoro nie były razem, ale nigdy najmniejszej przysługi jej nie uczyniła, ani też poświęciła co z siebie dla jej przyjemności.

Było to wśród lata i w poniedziałek; dwie siostry mieszkające zawsze w mieście dostały wraz z matką zaprosiny na sobotę na zabawę wiejską, która miała się rozpocząć komedyjką w ogrodzie odegraną przez kilka znajomych im panienek, a zakończyć się podwieczorkiem i tańcami. Matka sprawiła im była niedawno nowe sukienki muślinowe białe, i pozwoliła wziąść je pierwszy raz w ten dzień, a Emilka za pieniądze darowane sobie na imieniny kupiła śliczne dla siebie i siostry różowe chusteczki. Wszystkie więc uciechy połączyły się w tych zaprosinach. Wieś, komedya, taniec, podwieczorek, nowe suknie! Krzyknęły też radośnie obie, gdy im matka liścik przeczytała, a Emilka widząc już w myśli drzewa i kwiaty, słysząc muzykę, zaczęła śpiewać wesoło i suwać po całym pokoju skocznego mazurka, nie pamiętając, że dopiero co dostała połajanie za złą lekcyą.

Takie połajania zdarzały się bardzo często. Były osobliwie dnie, kiedy zdawało się niepodobieństwem schwycić uwagę Emilki i zatrzymać ją nad jednym przedmiotem minut kilka; zwłaszcza też jeśli nie było nikogo, coby ciągle wołał na nią. Gniew matki, a więcej jeszcze jej nieukontentowanie trapiły ją mocno, płakała rzewnie, obiecywała poprawę, nie dąsała się ani momentu, ale nazajutrz podobnież postępowała. Nigdy nie przewidywała nieszczęścia, dopiero wtedy, kiedy już blizkie było, i zawsze miała to przekonanie, że jej czasu na dopełnienie zadań nie braknie, chociaż zawsze brakowało.

Pani L. korzystając z obecnego zdarzenia i chcąc mocne wrażenie zrobić na córce, przerwała jej śpiewy i taniec i oświadczyła głosem surowym: że jeżeli przez cały ten tydzień lekcya i robota dokładnie spełnione nie będą, Emilka w sobotę na zabawę wiejską nie pojedzie. Emilka przestała tańcować i smutnie wróciła do książki. Ale już wieś, ogród, zabawa, głowę jej zajęły, i gdyby ją matka nie była przestrzegała kilkakrotnie, nie byłaby się nauczyła wcale. I tak nie umiała dokładnie. Ale pani L. na pierwszy dzień, bojąc się jej zniechęcić, okazała się pobłażającą. — To samo zaszło i dni następnych. Codzień matka mówiła: „Spodziewam się, że będzie lepiej jutro". — „O! będzie zupełnie dobrze!" odpowiedziała Emilka całując ją w rękę, i biegła skacząc i ciesząc się, że już do jutra myśleć o niczem niema.

W piątek pani L. kupiła różowe wstążki do kapeluszy i na przepaski córkom. Emilka prawie całe rano śpiewając i tańcując przymierzała je, składała chusteczki, oglądała sukienki, a tymczasem nic w zeszytach ani w pamięci nie przybywało. Nieszczęściem dla niej, matkę goście i interesa zaszły, nie mogła jej dojrzeć. Józia wprawdzie powiedziała: „Pisałabyś też Emilko, tak mi przeszkadzasz!" lecz nie zważała bynajmniej, czy jej siostra słucha, czy nie, o to jej szło jedynie, żeby cicho była. Nareszcie Emilka siadła do pisania, ale wzór jej się zarzucił. Powiedziała do Józi: „Pożycz mi, proszę, swojego?" Ta według zwyczaju odmówiła. Emilka wtedy zaczęła chodzić z kąta w kąt, szukając swojego wzoru. Jeszcze go nie znalazła, kiedy czas uczenia na pamięć nadszedł. Jakby na jej biedę obok książki naukowej leżała książka z zabawnemi powieściami; Emilka częściej w tej niż w tamtej czytała i nic się nie nauczyła.

W tem wybiła godzina zwykłej przechadzki, dzień był śliczny, niezbyt gorący. Pani L. weszła do pokoju córek, mówiąc: „Spodziewam się, że umiecie dobrze wasze lekcye, ubierzcież się prędko, przejdziemy się trochę, a za powrotem przepowiecie przedemną i odczytam pisanie". I wyszła. Emilka wtedy zasmuciła się bardzo: „Józiu, wyrzekła z nieśmiałością do siostry, powiedz ty mamie, żeby dziś nie szła na przechadzkę, zostańmy lepiej w domu, ja nic nie napisałam i nic nie umiem, gdybyś mnie choć na ten raz trochę pomogła, nagrodziłoby się wszystko". — „A mnie co do tego? — odpo-

wiedziała Józia — ja wiem, żem swoje zrobiła, i że mamie nic nie powiem... Taki czas piękny!... dobra jest! dla niej dusić się w pokoju". I poszła się ubrać. — Emilka spojrzała przez okno na śliczne niebo, na zielone drzewa: „Ej! — pomyślała sobie, — jak wrócimy z przechadzki, przez czas, co Józia będzie miała lekcyę z mamą, ja się nauczę; a po obiedzie napiszę". Poszły więc wszystkie trzy. W drodze spotkały przyjaciółkę pani L., ta zabrała je koniecznie do siebie na obiad, i dopiero wieczorem do domu wróciły. Pani L. oświadczyła wtedy, że lekcye odłożą się na jutro, lecz że potrzeba, aby doskonałe były, ile że to była sobota, dzień repetycyi.

Nazajutrz obie dziewczynki wstały bardzo rano. Z całego tygodnia przypomnieć sobie miały nauki. Józi łatwo to poszło, bo przez cały tydzień umiała była wybornie, przecież pracowała usilnie i nie chciała pomódz w niczem biednej Emilce, ani jej zeszytów pożyczyć, ani pióra poprawić, ani wskazać jaką koleją ma co robić. Ona też chcąc wszystkiemu razem podołać, i przypomnieć sobie to, czego nigdy nie umiała, bardzo mało postąpiła, i gdy przyszło do powtórzenia przed matką tygodniowych nauk, Józia umiała doskonale, Emilka nic a nic, gdyż strach i płacz odjął jej resztę wymowy i pamięci.

Pani L. rozgniewała się mocno, i powiedziała wyraźnie Emilce, że na zabawę nie pojedzie. Wtenczas i Józia zmartwiła się nieco, głos wewnętrzny mówił w niej: „Gdybyś była uczynniejszą dla siostry, nie stałoby się to nieszczęście". Dla zaspokojenia sumienia swego, zaczęła prosić matki za Emilką, ale matka nie dała się ubłagać. Przez resztę dnia, Józia jeszcze była smutniejsza w duszy od siostry, lubo tego nie tyle okazywała. Na samą myśl pojechania na tę zabawę bez Emilki, serce jej było bolesne i dreszcz ją przechodził, jednak odrzucała chęć przychodzącą jej czasami do głowy, zostania z nią w domu. — W tym stanie będąc oddalała jak mogła chwilę ubierania się; nareszcie matka jej powiedziała, że już czas, poszła więc do sypialnego pokoju i tam zastała Emilkę płaczącą. Nie śmiała jej spojrzeć w oczy — zaczęła jednak się ubierać, a mając wielki ciężar na sercu uroniła mimowolnie łez kilka. Zobaczywszy to Emilka przybiegła do niej, a sama płakać przestawszy, mówiła całując ją: „Nie płacz, Józiu! już mi teraz prawie nic nie żal, jedź i baw się dobrze i za mnie i za siebie". A tak mówiąc, pomagała jej do ubrania się i podała jej uprzejmie ową ładną chusteczkę, za jej własne pieniądze kupioną.

Już tego było nadto; na widok takiej dobroci siostry, Józi serce ledwie nie pękło z żalu, wyrywając się jej i służącej rękom pobiegła do Matki z wielkim płaczem, i nie tylko prosiła jej, żeby mogła niejechać na zabawę, ale wyznała, że wina Emilki najwięcej była jej winą. Matka pochwaliła czyn obecny, zganiła dawniejszy, a napisawszy liścik wymawiający się do państwa dających zabawę, posłała go przez umyślnego

Wtedy Józia rozebrana z ładnej sukienki, wycałowana przez Emilkę, szczęśliwa ze swojej ofiary usiadła przy matce, która zaczęła jej przedstawiać łagodnie skutki nieuczynności. Dziewczynka słuchała uważnie i w milczeniu, nareszcie powiedziała: „Moja mamo! dla czegoż ja nigdy o nic Emilki nie proszę?" Bo umiesz sama wystarczyć sobie i to jest bardzo chwalebnie; wreszcie jesteś znacznie starsza od niej, ale uważ, jakby pięknie było, gdybyś użyła korzyści, jakich ci użycza charakter twój, ułożenie i wiek, na dobro jedynej siostry. Dotąd twoje przymioty tobie samej służą, dotąd wszyscy cię chwalą, ale nikt bardzo nie kocha, a czyż my to dla siebie tylko żyć powinniśmy i czyż przyjaźń ludzka nie jest największym skarbem? Masz wielką władzę nad umysłem Emilki, jest to własność nie każdemu dana i przeto bardzo szacowna; ale tym świętszym jest obowiązkiem używać jej dobrze; jesteś zawsze razem z siostrą, uważaj więc sama, jakbyś mogła jej być użyteczną, gdybyś tylko chciała zająć się nią szczerze i być względem niej uczynną. Rozważ także sobie, jakbyś pięknie celowała między towarzyszkami twojemi, gdyby do tego szacunku, jaki mają dla ciebie, miłość i wdzięczność dodać mogły".

Te słowa trafiły do duszy Józi; ofiara, którą dla siostry zrobiła, wzbudziła w jej sercu nową nieznaną dotąd radość, wynikającą zawsze z poświęcenia się dla drugich. Umyśliła postępować według rad matki, i założyła miłość własną swoją w tem, ażeby mało potrzebując cudzej pomocy, być wylaną i uczynną dla drugich.

Dotrzymała słowa; zaraz nazajutrz jako w niedzielę, zabrała się z siostrą do ułożenia jej książek i papierów; porobiła jej i poliniowała zeszyty, uporządkowała zatrudnienia. W wie-

czór gdy kilka panienek zeszło się do nich, i bawić się zaczęto, sama tańcując dobrze, wybierała sobie do tańca najgorsze tancerki, grała wiele na fortepianie, i te tańce o które ją proszono, a gdy jednej panience rękawiczki się rozdarły, pożyczyła jej swoich nicianych, które była właśnie wyprała i naprawiła sama.

Podobnież czyniła ciągle i doczekała się wkrótce najsłodszej pociechy. Emilka przy jej pomocy i dozorze dobrze się uczyła, i dla tego że jej łatwiej było i że chciała wdzięczność okazać siostrze. Towarzyszki i znajome widząc ją zbogaconą w przymiot jedyny, na którym jej brakowało, zaczęły ją tyle kochać, ile szacowały dawniej: wszystkim panienkom za wzór ją stawiano, a Emilka, gdy doszła do lat zupełnych i także równie się okazała godną miłości jak poważania, mawiała często: „Jeżeli są we mnie jakie rzetelne i trwałe przymioty, winnam to siostrze".

PRAWO DZIEDZICZENIA W NATURZE.

Jeżeli mówimy w życiu zwyczajnem o dziedziczeniu, myślimy zwykle na majątek pozostały po rodzicach czy to ojcowiznę czy macierzyznę, która przechodzi na dzieci I są pewne prawa postanowione przez prawodawców, według których praw dziedzictwo się rozdziela. Ale otem prawie dziedzictwa nie zamyślam mówić na tem miejscu, — lecz o innem prawie, według którego dziedziczone bywają nie majątek i przemoga, ale różne własności i przymioty rodziców. A to prawo pochodzi od stworzyciela wszystkich rzeczy, i chociaż inne prawa bywają omijane i przestępowane, to prawo odwieczne jest nieodmienne i nie może być ani przekroczone ani naruszone.

To prawo zapewne już u zwierząt każdy spostrzegł. Wiemy, że zwierzęta młode bardzo często dziedziczą kolor czyli barwę, postać i inne własności po starych Wprawdzie to prawo ma liczne wyjątki, tak iż nie zawsze go widzimy, ale pomimo tego dobrze go wszędzie spostrzedz można. U krów, koni, kur itd. widzimy, że jeżeli starsze są koloru czarnego, białego itp., to też i młode dziedziczą po nich bardzo często tę barwę. Podobnie dzieje się, jeżeli stare były wielkie, silne i piękne, bo wtedy też zwykle i młode takie bywają. Od słabych, chorowitych, starych, pochodzą zaś takież młode.

To prawo jest niezmiernie ważne i w gospodarstwie dla chowu bydła, koni, drobiu itd. Są różne rasy bydła, koni, psów, gołębi, drobiu itd. A jeżeli rasę krów chcą poprawić, sprowadzają buhaja lepszej rasy, aby cielęta po nim dziedziczyły własności lepszej rasy. To zowie się krzyżowaniem. Podobnie sprowadzają ogierów szlachetniejszej krwi, i krzyżują ich rasę z domowymi końmi. Sprowadzono równie cudze rasy kur i pokrzyżowano je ze swojskiemi. A każde takie krzyżowanie polega na nieodmiennem prawie dziedziczenia w naturze panującego. Prawda, że nie w zupełności dziedziczą młode własności lepszej rasy, gdyż przy krzyżowanin ze starych tylko jeden należy do lepszej a drugi do tak zwanej pośledniejszej rasy, ale pomimo tego gorsza rasa przez to się uszlachetnia.

Takie uszlachetnienie można zresztą osięgnąć jeszcze w inny sposób bez krzyżowania. Potrzebaby np chować cielęta tylko od krów, które się odznaczają czy to pięknością, czy wielkością, czy hojnością mleka; a później znów tak samo czynić w drugiem, trzeciem i w czwartem pokoleniu itd. Wyżywienie i pielęgnowanie musi być przy tem dobre, bo bez tego samo dziedziczenie nic nie pomoże. W taki sposób można rasy zwierząt domowych powoli uszlachetnić i nadać im różne własności pożądane. Bo i te rasy, które z zagranicy sprowadzamy i z naszemi rasami krzyżujemy, bardzo często w ten sam sposób powstały.

Który zaś sposób uszlachetniania jest lepszy, czy przez krzyżowanie czy przez powolne uszlachetnianie swojskiej rasy, o tem tu nie będziemy stanowić. Dosyć powiedzieć, że niektórzy twierdzą, iż drugi sposób zasługuje na pierwszenstwo. Mówią bowiem, czy słusznie, czy nie słusznie, w to nie wchodzimy, że sprowadzane z inąd rasy powoli się wyradzają. Zawsze jednak dobrze, jeżeli gospodarz wie o tem prawie dziedziczenia, bo w niejednym razie może go rozumnie użyć i zastósować w hodowli swego bydła. Nawet u zboża i innych nasion można użyć tego prawa, obierając najlepsze na nasienie.

Mógłby się jeszcze ktoś zapytać, czy też u ludzi panuje podobne prawo dziedziczne. Odpowiedzieć należy, że i u ludzi takowe spostrzedz się daje, i dosyć rzucić okiem na stosunki ludzkie, aby się o tem przekonać. Wiadomo, jako w niektórych rodzinach odznaczają się ludzie bądź siłą cielesną, i jako te przymioty przechodzą z ojca na syna. Wiadomo dalej, jako w innych familiach są choroby pewne familijne, które przechodzą z ojców na dzieci. Osobliwa rzecz jest, że czasem takie dziedziczne własności przeskoczą jedno lub dwa ogniwa, a znów się pojawiają, np. u syna ich nie widać a u wnuka znowu się pokazują. Nawet zdolności, nałogi itp. przechodzą zwykle na potomków przez dziedziczenie. Często słychać ludzi mówiących: z tego chłopca będzie pijak, bo jego ojciec też takim był. Albo mówią o człowieku nagłym, mściwym itp., że i jego ojciec był. Wiadomo nakoniec, jako w niektórych familiach złodziejstwo albo przynajmniej skłonność do kradzieży przez dziedziczenie istnieje. Jednak przez rozum i wolę, człowiek każdy nałóg nawet odziedziczony pokonać może. Równie dobre przymioty np. trzeźwość, pracowitość itp. przechodzą na potomków. Jest to także przyczyna, aby każdy starał się pokonać złe skłonności, bo przy tem nie tylko o niego chodzi lecz i o potomków.